



JWSTROWANY DODATEK TYGODNIOWY
Nr 36 Głosu Wielkopolskiego



Sławni lotnicy polscy w okresie 20-lecia

Pierwsza przeloty długodystansowe

Jeśli chodzi o polskie lotnictwo jest się naprawdę czym pochwalić. Po ma-
ło może znanych przelotach polskich
eskadr nad Alpami (Serednicki, gen.
Zagórski) i pierwszej próbie lotu na-
około świata pilota Czarkowskiego —
Golejewskiego, zakończonych tragicznie
ślepota lotnika, możemy zanotować lot
długodystansowy na trasie: Turcja,



Sp. L. Idzikowski
major-pilot

Jerzy Bajan

Persja, Afganistan, Mezopotamia, Pale-
styna, Syria, Egipt. Było to z górą 15 tys.
km. Przelotu tego dokonał Stanisław
Karpiński. Do Afryki na RWD leciał
Bernard Skórzewski. Nieposób zresztą
wydobywać wszystkich z pyłu zapo-
mnienia. Czekała nas wszelkie znanie-
niste nazwiska i przeloty, które zdobyły
światową sławę. Sam pamiętam dobrze
chwile, kiedy statek polski wylądowy-
wał w porcie gdyńskim drogocenny le-
dunek — ciało bohaterskiego lotnika-
pilota mjr. Idzikowskiego. Uroczyste
odbyło się przeniesienie zwłok na ląd.
Idzikowski razem z Kubalą próbował
przelecieć Atlantyk. Po pierwszym nie-
udanym locie wystartował po raz drugi
13 lipca 1929 r. I tym razem silnik od-
mówił posłuszeństwa, zmuszając do lą-
dowania na małej wyspie Gaziós na
Azorach. Śmierć krył w sobie zdradzie-
cki wał kamieni wśród zboża. Była to
siedemnasta z rzędu światowa próba
sforowania Oceanu. Szaleństwem na-
zwano wyprawę w samolocie lądowym.

Na małej łupince

przez Atlantyk

Kusiły wody Oceanu i nie dawały
spokoju. Mały, poważny pan w spor-
towym szarym ubraniu przy sterze pol-
skiej RWD 5. Któż to taki? Mjr. Skar-
żyński. Był pierwszym z Polaków, któ-
remu w zupełności udało się lot nad
Oceanem. Startuje z Warszawy 7 maja
1933 r. przez St. Louis, by lądować w
brazylijskim Maceio. Sam jeden na
małej awionetce. 3640 km. Dzienniki
brazylijskie nazwały go „bravos Avia-
cao da grande Nakao Poloneza” (dziel-
ny lotnik z wielkiego polskiego naro-
du). A komisarz sportowy francu-
ski, gdy go w o-
statniej chwili u-
przedził o celu po-
droży, wykrzyknął:
„Mais Vous êtes
foux! Jak można w
takiej łupince le-
cieć przez Ocean”.
Tenże sam Skar-
żyński odbywa tuż
przed tym lotem
wielką eskapadę
afrykańską, robiąc
w powietrzu 25
tysięcy km wokół czarnego lądu.
„Podstawą powodzenia jest wiara w
osiągnięcie wyraźnie wytkniętego ce-
lu” — oto dewiza wielkiego pilota,
której trzymać się będą wszyscy polscy
pionierzy przestworzy.



Sp. Fr. Zwirko
kapitan-pilot

Lot „na zbitą twarz”

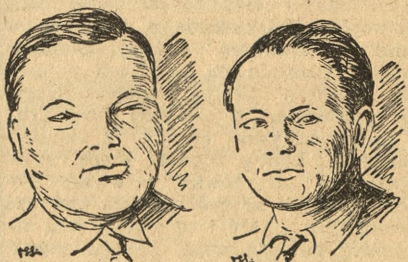
A w rok później próbowali szczęścia
dwaj bracia Adamowicze: Ben i Joe,
mali fabrykanci wody sodowej ze Sta-
nów Zjednoczonych, Polacy-amerykań-
scy. Byli to zupełnie wyjątkowi lotni-
cy. Kaprys sprawił, że zaczęli latać.

Samolot kupili przypadkiem, nauczyli
się pilotażu domowym sposobem i za-
raz postawili sobie dumny cel: lot do
Polski. W ich książce pokładowej znaj-
dujemy pod datą 29 czerwca taki napis:
„Take off 5 O'clock From Harbour Gra-
ce for Warsaw Poland”. Samolot swój
nazwali „Warszawa”, lecieli 20 godzin,
lądując we Francji. Stanowczo więcej
mieli szczęścia, niż lotniczego doświad-
czenia. Był moment tragiczny w czasie
ich podróży, kiedy jeden z braci w
przeżeniu napisał po polsku (cały
dziennik prowadzony był w języku an-
gielskim): „Boże, zleć se nad nami”.
Był to według określenia ówczesnego
premiera polskiego lot „na zbitą twarz”.
Tragicznie zakończyła się próba zdoby-
cia Atlantyku przez innego Polaka ze
Stanów — Hausnera. W roku 1932 ura-
towano go, po dłuższych poszukiwa-
niach na wodach Oceanu, po katastro-
fie w następnym locie w roku 1934 nie
udało go się już odnaleźć.

Sukcesy balonowe

Do władz prowincjonalnych cesarstwa
japońskiego.
„Oskaziciel niniejszego, oficer lotniczy
Wojska Polskiego por. Orliński ma za-
miar za zgodą rządu japońskiego doko-
nać lotu tam i z powrotem z Paryża do
Tokio przez Syberię, Mandżurię i Ko-
rę”. Była to treść depeszy, która
zapoczątkowała ogromny sukces pol-
skiego pilota. Orliński — pierwszy lot-
nik polski w Tokio otrzymał z rąk Mi-
kado Joshi-Hito Order Wschodzącego
Słońca. 20.250 km wynosiła trasa.

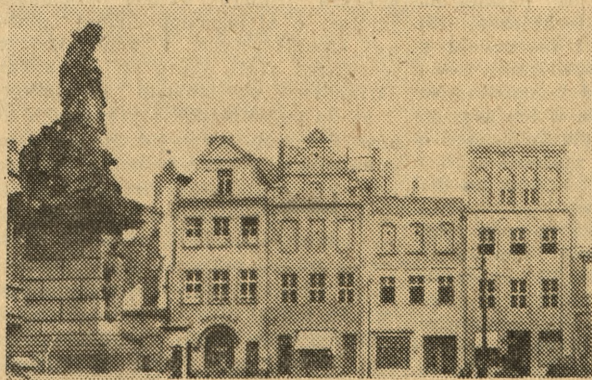
A któż nie słyszał o challenge'ach, o
Zwirce, Wigurze, Bajanie, Płonczyń-
skim... O tych międzynarodowych za-
wodach samolotów turystycznych, jak i
o słynnych zapasach balonowych o pu-
char Gordon-Bennetta. Tu i tam zdo-
biliśmy puchar na własność za szereg
kolejnych zwycięstw, uznanie całego
świata. Hynek, Burzyński, Wysocki,



Bracia Adamowicze

Janusz, Pomaski... Polski samolot RWD,
polskie balony, Kościuszko, Polonia,
Warszawa... Pierwsze zwycięstwo w r.
1933 na zawodach w Chicago z pełnym
przygodą lądowaniem w puszczy kana-
dyjskiej. 32 godzin 32 minuty lotu i
1370 km przelotu. Trzecie zwycię-
stwo w r. 1933 osiąga balon „Polonia
II” z załogą Burzyński, Wysocki. Sia-
dają nad Donem, przebywszy 1650 km
w ciągu 57 godzin i 54 min. I drugie
miejsce należy do Polaków (kpt. Ja-
nuusz), piąte tak samo (Hynek).

Oto pobieżny rzut oka na kar-
tę polskiej sławy lotniczej. Dziś wy-
ższymi siłami budujemy od nowa po-
tężną Polskę skrzydlatą. (SS)



Zabytkowe fasady domów na Starym Rynku odzyskują
z wolna dawne piękno.

POZNAŃ, 5 IX 1948 r.

ROK III

Poznań w odbudowie

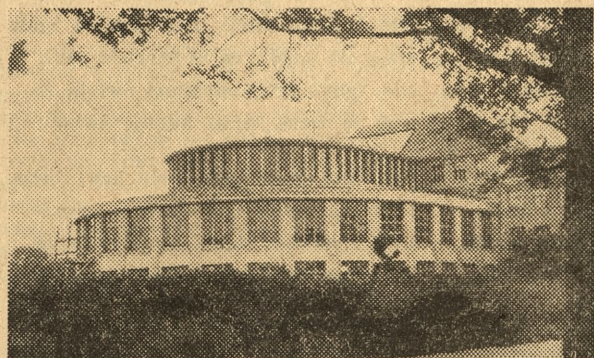
Poznań tętni życiem wielkomiastem.
Ulicami przewijają się codziennie set-
ki samochodów i wozów, tramwaje i
tysiące przechodniów. Ten i ów zaj-
rzy w witrynę sklepową, zainteresuje
się nowościami, lub wstąpi na parę
minut do parku, by po pracy odpocząć
na ławeczce. I tak postępuje życie
miasta, którego dni podobne są do
siebie jak dwie krople wody, nadające
mu swoiste piętno. A jednak wokół
widzimy wciąż nowe symptomy wy-
silonego, upartego trudu.

Tym głównym symptomem to praca
przy odbudowie, dzisiaj już zakroj-
onej na wielką skalę.

Skierujemy nasze kroki spacerem
przez miasto. Ujrzymy wiele rzeczy,
na które — obciążeni codziennymi
kłopotami — nie zwracamy uwagi.
Nie dostrzegamy zazwyczaj ludzi uwi-
ających się na rusztowaniach, cegła
za cegłą budujących fundamenty i
ściany nowych gmachów. Pozornie nic
nas to nie wzrusza. Wszak pracować
musi każdy. W codziennej rywalizacji
na polu odbudowy nie zdajemy sobie
sprawy, jakie ona
ma znaczenie dla
naszego życia i ży-
cia miasta.

Weźmy dla przy-
kładu Stary Rynek:
Wysiadzisz prze-
chodniowi z którego-
kolwiek tramwaju
i choćbyś nie
chciał musisz za-
uważyć polyskują-
ce świeżym tyn-
kiem dwupiętrowe
wąskie domy. Sta-
re miasto odradza
się w stylu z XVII
wieku. Jeszcze tu
i owdzie zionie pu-
stką okno wypa-
lonego domu ale...
i ono ożywi się
kiedyś uśmiechnię-
tą twarzą.

Ze Starego Mia-
sta skierujemy swe
kroki na prastarą
kolebkę Poznania
— Ostrów Tumski.
Już z daleka wita-
ją nas wysokie ru-
sztownia i ciasno
budowany drewnia-
ny parkan. Tutaj
wre praca nad
przywróceniem pie-
knych kształtów
naszej Katedrze. Zza szachownicy
mury i desek
wyzierają surowe
mury i mimo woli
nasuwa się
pytanie: „coż z tego
wszystkiego wy-
jdzie?” Odpowiedź
sobie nie trudno.



Jeden z gmachów Uniwersytetu Poznańskiego Collegium
Anatomicum po całkowitej odbudowie.

Kto wie, czy za rok nie znikną już
rusztowania i nie odsoniają wspianalej
romkańskiej fasady.

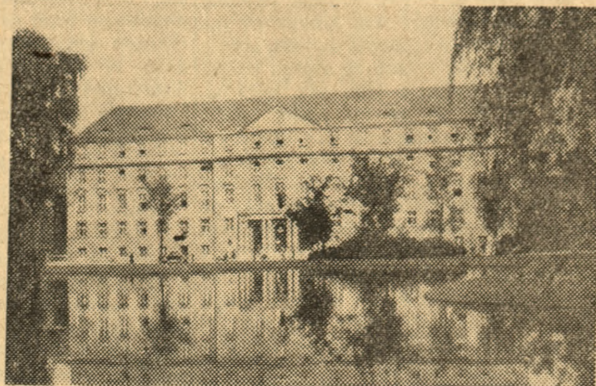
Ale teraz stop i w tył zwrot. Chcąc
sobie uzupełnić obraz odbudowy Po-
znania, przejdź ponownie Stary Ry-
nek, i dalej przez plac Wolności na
Wały Zygmunta Starego.

Staniesz przechodniowi po stronie Par-
ku Marcinkowskiego i zapytasz może
„Po co tu przyszedłem? Wszak nic cie-
kawego nie widzisz”. Nie widzisz? Tuż
przed tobą piętrzy się odbudowana Dy-
rekcja Kolei, jeden z najbardziej re-
prezentacyjnych budynków Grodu
Przemysława. Widok świeżego muru
o ceglasm kolorze daje nam do zro-
zumienia ile tutaj zrobiono. Toć pra-
wdzie cały budynek

gmachu Urzędu
Wojewódzkiego.

Te dwa reprezen-
tacyjne budynki
staną się sąsiada-
ni odbudowujące;
się Izby Rzemieś-
niczkiej. Tempo tej
odbudowy możesz
przechodniowi podzi-
wiać wtedy, gdy
od narożnika ulicy
Artyleryjskiej
skierujesz swe kro-
ki na ul. Niezłom-
nych.

Na Izbę Rzemie-
ślniczą nie wpa-
truj się jednak
zbyt długo, bo po-
miniesz inny o-
biekt. Zrób w tył zwrot i rzuc
okiem na gmach po przeciwnej stro-
nie ulicy. Pamiętaj, że je-
szcze pół roku temu widziałeś tu ruiny.



Odbudowany gmach poznańskiej Dyrekcji Kolejowej
przy Wałach Zygmunta Starego.

na placach zauważyć można rusztowa-
nia i uwijających się na nich robotni-
ków w powalanych tynkiem ubraniach.
Sezon budowlany trwa. Zaním w tym
roku dobiegnie kresu przybędą Pozna-
niowi nowe gmachy — reprezentacyjne,
urzędowe i mieszkalne. Jedne więcej,
inne mniej okazałe, ale wszystkie tak
bardzo Poznaniowi potrzebne. Jeszcze
w tym roku staną fundamenty nowych
szkół na Ratajach i w Starolecie, przy-
szosie do Lubonia wyrosną mury no-
wych bloków mieszkalnych dla praco-
wników Cegielskiego, pokryje się dachem
nowy budynek Urzędów Skarbo-
wych przy Wałach Batoreskiego i staną no-
we magazyny w Porcie Rzecznym. Tak
będzie wyglądać najbliższa przy-
szłość.



Prace przy odbudowie poznańskiej
Izby Rzemieślniczej dobiegają już
końca.

Skoro buduje się w Poznaniu tyle
nowych budynków, to przecież muszą
one uzyskać właściwą oprawę? Wszak
ślady wojny trzeba usunąć wszędzie
tam, gdzie one powstały?

I o tym w Poznaniu pomyślano.
W kilku dzielnicach zakłada się nowe
parki i zieleńce, a tam, gdzie wymaga
tego zwiększający się z dnia na dzień
 ruch miejski całe niemal ulice otrzy-
mują nową nawierzchnię.

A niebawem znacznie nad miastem
królować symboliczna sylwetka odbu-
dowanej wieży Starego Ratusza.

Ten jedyny w Polsce zabytek czystego
renesansu dźwiga się z popiołów i
zgliszcz wysiłkiem całego społeczeń-
stwa poznańskiego, tak silnie przywią-
zanego do swego Grodu i budynku,
który był zwykły i będzie ośrod-
kiem zainteresowania wszystkich przy-
jezdnych, a dumą poznaniaków. Odbu-
dowujący się Ratusz to symbol ży-
wotności miasta i jego wytężonej pra-
cy nad usunięciem istniejących je-
szcze śladów wojny.

Eugeniusz Cofta



Przy ul. Rolnej powstają bloki mieszkalne dla praco-
wników Zakładów H. Cegielskiego.
Fot. (6) „Głos Wielkopolski” E. Kitzmann

Następny numer „ŚWIATA”

przyniesie

bogato ilustrowany
reportaż

o odbudowie

Warszawy

Kaliskie wrażenia i nastroje

Starożytny gród nad Prosną, najstarszy z miast słowiańskich, oznaczony już na Ptolomeuszowej mapie świata, słynie szeroko w całej Polsce ze swego uroku i wdzięku. Calissia jest, jak kobieta. Kiedy się patrzy na jej jasną twarz, trudno jest zgadnąć, ile ma lat i ile przeżytych trosk i kłopotów kryje się za jej czarującym uśmiechem. Dopiero po kilku godzinach naszej wędrówki po tym mieście, kiedy zaczniemy reasumować nasze kaliskie wrażenia, dojdziemy do wniosku, że tu i ówdzie widzieliśmy jednak jakąś zmarszczkę i jakąś skazę, której powabna niewiasta nie zdążyła ukryć przed natrętnym wzrokiem niespodziewanego gościa.

No i cóż? Pomimo pewnej ironii, która już się zakradła do ogólnego tonu tego artykułu, trzeba całkiem obiektywnie stwierdzić, że każdy przygodny turysta wywiezie stąd wiele cennych i niezapomnianych wrażeń. Może będzie to jakiś zapamiętany motyw ślicznego parku nad Prosną, może pełna uroku i nastroju architektura starych kościołów kaliskich, może urzekające piękno rubensowskiego „Zdjęcia z Krzyża”, widzianego w kościele św. Mikołaja, a może resztki starych murów obronnych miasta z jedyną, zachowaną do naszych dni, basztą „Dorotką” pośrodku? Może to, a może i co innego. Możliwości Kalisza są pod tym względem naprawdę duże. Zawsze jednak wywozi się stąd trochę poezji i trochę ciszy, w której tak dobrze słyszeć, jak w starych murach kaliskich szumi surowy wichor historii.

Z historią bowiem chodzi się w tym mieście pod rękę, historia towarzyszy nam tu stale i na każdym kroku. Pomysłowo tylko: Kalisz ma poza sobą 18 stuleci udokumentowanych dziejów. Moskwa i Praga, Gniezno i Kraków nie mają metryk, sięgających w tak odległą przeszłość.

Było to ongiś jedno z poważniejszych centrów politycznych i administracyjnych kraju. W swoim rozwoju dziejowym był Kalisz najpierw głównym grodem legendarnego plemienia Liągów, później stolicą udzielnego Księstwa, a wreszcie przez długie wieki siedzibą władz wojewódzkich, departamentowych czy gubernialnych.

Wielu sławnych ludzi wydało to miasto. Złotymi zgłoskami zapisali się kaliszanie w dziejach sztuki i kultury polskiej, a wśród nich poeta postępu i pracy Adam Asnyk, którego pomnik w krótkim czasie ozdobił ma jeden z reprezentacyjnych placów miejskich. W niejednym ze swych wierszy daje on wyraz swojemu przywiązaniu i tęsknocie za rodzinnym miastem.

Szanowany kupiec kaliski, ojciec poety, Kazimierz Deczyński, ubogi nauczyciel wiejski i nieszcześliwy obrońca ludzkich praw chłopskich, kiedy jechał z Kalisza do Warszawy, aby przed oblicze możnych tego świata zawieźć skargę ludu ziemi kaliskiej i sieradzkiej na gnębiących go panów.

Historia wolnościowych ruchów demokratycznych stanowi bowiem osobny rozdział w dziejach tego miasta i tej ziemi. Na Starym Mieście na lewym brzegu Prosną jeszcze słysząc echa strzałów, które tutaj padły w roku 1905 w czasie walk rewolucjonistów polskich z policją i żandarmerią carską. Z bojów i przeżyć proletariatu kaliskiego powstała społeczna liryka Marii Konopnickiej. Największa poetka polska była również dzieckiem tego miasta.

Przywieziono ją do Kalisza, jako niemowlę, tutaj przeżyła ona swe dzieciństwo oraz górą i podniebną miłość. W swojej spuściźnie poetyckiej pozostawia Konopnicka wiersz, poświęcony Kaliszowi, będący, jak gdyby pobudką i wezwaniem do czynu:

Jeśli moja ci kochanie
W żar wybuchła, w pieśń i czyn,
Dnia ci noszę zwłastowanie:
Światło niechaj ci się stanie,
Boś ty ducha prawy syn!!!

Wszystko w tym starym mieście ma swój początek gdzieś w zamierzchłej przeszłości i trwa od wieków do dzisiaj. Ale Kalisz dzisiejszy to nie tylko miasto dostojnych i czcigodnych wspomnień. W szumie historii, wiejące nad nadprośniańskim grodem, słychać wyraźnie powiewy nowego życia. Wśród wyniosłych wież średnio-wiecznych kościołów kaliskich widać, strzelające ku niebu, kominy nowoczesnych i wielkich zakładów przemysłowych, pracujących dniem i nocą i przodujących niejednokrotnie w ogólnopolskim wysiłku produkcji i pracy. Znałe są w całym świecie tutejsze hafty i koronki, jedyna w Polsce fabryka fortepianów i pianin, czy eksportowane nawet do Egiptu i Indii kaliskie plusze i aksamioty. Uruchomienie tych zakładów po wojnie jest wielkim osiągnięciem kaliskich robotników, techników i inżynierów. Odbudowa zniszczonej przez Niemców Elektrowni, budowa wzorowej tkalni jedwabiu sztucznego „Bielarnia”, czy zmontowanie i puszczenie w ruch wielkich Państwowych Zakładów Samochodowych — wszystko to świadczy o wielkiej preżności i energii tego miasta, które nigdy nie zatraciło swojego pędu do rozwoju i rozrostu.

Sprawił to pewnie osobisty urok i wdzięk „polskiej Wenecji”, że stała się ona równocześnie grodem, ukochanym przez Muzy. Kościoły kaliskie posiadają szereg cennych dzieł sztuki z obrazem Rubensa na czele, którego autentyczność nie ulega najmniejszej wątpliwości. W opisie wizytacji kościoła św. Mikołaja, dokonanej w roku 1639, czytamy wyraźnie: „Cuius maior imago depositionis de Crucis Domini Nostri Jesu Christi, Antwerpiae depicta his temporibus a celebri pictore Rubens... etc.” (którego obraz główny, przedstawiający zdjęcie z Krzyża Jezusa Chrystusa, malowany współcześnie w Antwerpii przez sławnego malarza Rubensa... itd.). Pojezuicki kościół garnizonowy (w nr. 32 „Świata” niefor-

tunnie przez p. A. Łącz. utożsamiony z kolegiatą N. M. P.) jest jedną z pierwszych budowli barokowych, jakie powstały po tej stronie Alp. Twórcą jego jest znakomity architekt włoski Giovanni Maria Bernardone spod Como, któremu pomagał wydatnie Fontana Albinus Italus „murator Civitatis Calissiensis”.

Kulturalnym potrzebom miasta służy Teatr Miejski oraz tutejsze szkoły artystyczne z zasłużonym wielce dla Kalisza Instytutem Muzycznym na czele. W najbliższym czasie powstanie tutaj Ognisko Kultury Plastycznej, organizowane przez specjalnie powołany do tego Komitet. Wydział Oświaty, Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego projektuje organizowanie w Kaliszu stałych wieczorów autorskich z udziałem najwybitniejszych literatów współczesnych. Kapela Ludowa Ziemi Kaliskiej, będąca właściwie — mimo swej nazwy — małym zespołem symfonicznym, niewątpliwie przyczyni się wydatnie do ożywienia w Kaliszu ruchu koncertowego.

Teatr Miejski, którego tradycje sięgają do czasów i osoby Wojciecha Bogusławskiego, wkracza obecnie w trzeci rok swojego powojennego bytowania. Specyficzne warunki tutejsze nie były dla tej placówki specjalnie sprzyjające. Trudności ze zmontowaniem odpowiedniego zespołu artystycznego, wymagania i gusty kaliskich teatrmanów, brak odpowiednich reżyserów — wszystko to sprawiło, że poziom teatru był w ostatnim sezonie mocno nierówny. Obok wybitnych osiągnięć, do jakich należy zaliczyć „Zaczarowane koło”, „Lekkożylną sióstrę”, czy „Dom pod Oświęcimm” spotykaliśmy w teatrze kaliskim spektakle słabe i nieudane, jak np. „Zemsta”. Na plus teatru należy zapisać jego stale podnoszący się poziom artystyczny oraz rzetelne wysiłki, jakie kierownictwo tej placówki wkłada w udostępnienie przedstawień szerokim masom świata pracy. Pod tym względem zrobiono w Kaliszu bardzo dużo, a porównywanie tego stanu z przedwojenną organizacją tutejszej widowni jest wynikiem zupełnie błędnych informacji lub nieporozumień.

A poza tym? Kalisz jest miastem pięknym. Możemy krok za krokiem chodzić po ulicach nadprośniańskiego grodu, a wszędzie słyszymy, jak w starych jego murach szumi poezja. Warto tam jechać, przystanąć i posłuchać tego szumu.

MARIAN PIECHAL

Warszawie

Ilu ich padło — niech nikt nie pyta.
Nie ważna liczba, krew ani gruz,
ważny heroizm, treść w czasie skryta,
miara dla dziejów, pokarm dla muz.

Triumfującej, lecz nie zwycięskiej,
przemocy, którą żyje rdza i pieśń,
jak kamieniowi woda znad klęski
przeciwstawiła się wiara i pieśń.

Stolicę dawną z krwi i kamienia,
przybierającą z ziemi jak nów,
odbudujemy lepszą z sumienia,
piękniejszą z myśli, trwalszą ze snów.

Nie tym co dzieł, lecz tym co brata
stałe się każdy, co w Sprawie padł.
Nie tylko żywy motorem świata —
trup w ziemi także buduje świat

Od dział mocniejsze było krwi bicie,
miotacze ognia celniejsze z serc:
nam z naszej klęski wynikło życie,
im z ich zwycięstwa wynika śmierć.

FRANCISZEK ŁUKASIEWICZ

Kierownik referatu muz. „Polskiego Radia”

„Problemy operowe”

Czy opera się przeżywa? — oto zagadnienie, które od szeregu lat pasjonuje koła krytyków, estetów i muzykologów i budzi sprzeczne ze sobą sądy i opinie. Dwa obozy stają naprzeciw: grupa konserwatywna w której nie brak wybitnych muzyków oraz koła kompozytorów nowoczesnych ze słynnym pionierem i awangardzistą modernistycznej muzyki słynnym pianistą — kompozytorem Ferruccio Busonim, który namiętnie zwalczał operę w jej dotychczasowej formie, uważając ją jako przeżytek nie do utrzymania. Kto ma rację? Należałoby przede wszystkim zdefiniować, czym jest opera i jakie jej zadanie. Długie są dzieje rozwoju opery, a jej kolebka była słoneczna Italia.

Oto kompozytorowie florency XVI wieku pragnąc wskrzesić dramaty grecki wzbogacić akcję sceniczną śpiewem i akompaniamentem orkiestrowym. Po trzech czterech następnych wiekach przedstawiać będą dzieje muzyki operowej kolejnymi przemianami intencji dramatycznych z intencjami muzycznymi. Oto raz bierze górę piękno melodii, innym razem przeważać będzie intelekt i eks-

presja dramatyczna. Po niewielu latach eksperymentowania pojawia się już w XVI wieku mistrz, który od razu wznosi ten nowy gatunek sztuki na wyżyny prawdziwego artyzmu. To Claudio Monteverdi, urodzony w roku 1561 w Cremonie, nazywany Wagnerem XVII wieku. Ten wielki nowator muzyki, który pierwszy wprowadził śmiało dysonans i chromatykę, znał jak nikt ekonomię instrumentacji i używał charakterystycznych cech poszczególnych instrumentów dla podmalowania sytuacji scenicznej. W jego operze „Orfeusz”, skardze bohatera towarzyszą altówki, chórówi duchów organy, a śpiew Plutona wzmacniają 4 puzony. Ze szkoły florentyńskiej XVI wieku rodzą się dwa nowe kierunki: weneński reprezentowany przez Lottiego i neapolitański, którego twórcą jest Sycylińczyk Aleksander Scarlatti, twórca 118 oper, 200 mszy, i 40 kantat, zwany dla swej uniwersalności włoskim Bachem. Jego szkoła cechuje połączenie siły wyrazu z bujnością dźwięku i melodyjnością, cechy które później przedrządzą się jednak w liryczną czułość.

Jesteśmy w epoce baroku. Ruch operowy ogarnia cały naród włoski. Opera kwitnie nie tylko na dworach książęcych, które zatrudniają kompozytorów, ale opanowuje również centra zagraniczne. Poza Rzymem, Wenecją i Neapolem zainteresowanie nową sztuką ogarnia również Francję, Anglię i Niemcy, a sto lat później Rosję.

W XVII wieku następuje przeobrażenie stylu. Wyraz muzyczny i poezja ustępują miejsca wirtuozostwu śpiewu. Chóry w stylu madrygalowym odgrywają tak dużą rolę w twórczości Monteverdiego schodzą na plan drugi, a opera staje się domeną wirtuozów śpiewu, który na przełomie XVI i XVII wieku osiąga nigdy już później nie przewyższony szczyt technicznej doskonałości. Śpiewacy i śpiewaczki operowi tego czasu wywierają nawet wpływ na twórczość kompozytorów, którzy piszą swe dzieła w ich asystencji. I tu jest źródło stylu śpiewnego opery włoskiej, który zastąpił jako to. zw. włoskie belcanto, będące po dziś dzień wzorem mistrzowskiego śpiewania. XVII i XVIII wiek to najbujniejszy, ale zarazem prawie zapomniany okres rozwoju twórczości operowej. Któż dziś scena wystawia n. p. dzieła Paessiego, zwanego włoskim Mozartem, którego opery budziły niedługo szal entuzjazmu. Któryż kapelmistrz zagłąda do partytur Jomelliego, Cavalliego, Cestiego? Przeglądając karty dawnych dzieł można się zdumieć nad

bogactwem tego okresu muzycznego. Któż choćby wspomni dziś kompozytora owych czasów d'Astorge, którego współcześni nazywali geniuszem i monarchą wśród kompozytorów. Dawno już przebrzmiała również sława śpiewaków ówczesnych, których czczono nieczym udzielnych monarchów. Ale jakże inny był stosunek ówczesnych śpiewaków do sztuki. Słynny Cafarelli studiował w Porporę przez 10 lat i podczas tego czasu nie wolno mu było nigdzie występować. Dopiero po upływie tego czasu uznał Porporę swego ucznia za gotowego artystę i poeznął go słowami: „Idź, mój synu, jesteś największym śpiewakiem świata”. Największe triumfy święcą feomenalni kastraci o nieprawdopodobnej głosowej ekwilibryście i zdumiewającej szerokości skali, która np. u kastrata Farinelliego obejmowała kontraltowe D aż do najwyższych sopranowych tonów. Śpiewacy ówczesni posiadają instrumentalną wprost technikę głosową. Dla nich tryle, pasaży w najszybszych tempach, najtrudniejsze ozdobniki nie przedstawiają żadnych trudności. W okresie rokoka rodzi się nowy kierunek opery „buffo”, stworzonej przez Pergolesiego, rodzaj opery, który znajduje w Rossinim genialnego przedstawiciela. Opery historyczne piszą Cherubini i Spontini, a rewolucja XVIII wieku inspiruje kompozytorów włoskich do pisania oper o tendencjach wolnościowych.

Do tej kategorii należy n. p. opera Cherubiego „Woziwoda”. Rossini, twórca nieśmiertelnego „Cyrylika Sewilskiego” wskrzesza belcanto, a jego styl kontynuuja Bellini, Donizetti i Mercadante. Po Rossinim obejmuje berło hegemonii operowej genialny Verdi, którego znaczenie historyczne polega przede wszystkim na uwolnieniu muzyki włoskiej od wpływów niemieckiej romantyzmu i sprowadzeniu opery włoskiej na tory narodowe. Spuścina po Verdim przez nikogo nie została naśladowana. Krótki okres weryzmu z genialnym melodykiem Puccinim nie wnosi do muzyki włoskiej istotnych przemian, a najwybitniejszym wypadkiem po tym okresie były próby wskrzeszenia opery „buffo”. Znaczenie Włochów w dziejach opery polega przede wszystkim na tym, że potrafili odebrać w tym kierunku hegemonię muzyce niemieckiej.

Już Rossini i Verdi usamodzielniają się w swej twórczości od wszelkich wpływów i budzą ducha narodowego, a cechą ich muzyki to piękno dźwięku i bogactwo melodyjne. Jak bardzo twórczość wpływa zarazem na sztukę śpiewu widzimy z tego, że technika wokalna doprowadzona do szczytu wirtuozerii w wieku XVIII doznała pod wpływem dramatów muzycznych Wagnera pewnej dekadencji. Albowiem Wagner nie uznawał ani koloraturowych sopranów, ani lirycznych tenorów.

Imprezy artystyczne w Łagowie

Poniedziałkową próbę Poznańskiej Filharmonii prowadzi Stanisław Wiśłocki. Ma na sobie niebieską „kanadyjkę” a na twarzy szczerzy uśmiech. Wierze, że może się z czego cieszyć. Orkiestra bowiem gra tę „trzecią” symfonię Brahmsa doskonale. Niemniej dobrze idzie „Kościół Panny Marii” Perkowski i słynna „Uwertura” Szałowskiego. Bardzo ciekawą innowacją udało się wprowadzić obok gestego systemu prób. Oto wieczorem po kolacji — tak wspaniale przez Mistrza Wagnera z „Podpięty” przyrządzonej — gromadzą się filharmonicy z nutami i żonami przy swych stolikach. Na salę wjeżdża radioodbiornik a obok na stoliku zmontowano adapter. Właśnie wiedeńska orkiestra gra tę samą „trzecią” Brahmsa, którą poznali, czy dopiero wyćwiczili. Jakżeż pouczająca to „lekcja”. Ile ważnych porównań można z tego nagrania wydobyc. Zdecydowanie nie podoba się „naszym” angielskie nagranie „Uwertury” Szałowskiego. Grają lepiej a w każdym razie — dokładniej.

We wtorek wieczorem obok sali gimnastycznej, w której odbywają się próby, młode „Junaczki” rozpalili nie tylko ognisko ale i serdeczną ku sobie sympatię. „Płonę ognisko i szumią knieje...” dookoła zasiadli mieszkańcy Łagowa, stali i „turnusowi” z całej Polski. Dziewczeta recytują wiersze, tańczą, śpiewają ludowe piosenki a publiczność klaszcze brawa. Młodzi „zbojnicy” znoszą z pobliskiego lasu suche gałęzie i rzucają je na wysoko płonący stos. „Dobrze nam” — kończą swe produkcje, śpiewając rytmiczną piosenkę. Poważny pan Wójt dziękuje „Junaczkom” w imieniu Łagowa za miły wieczorek. Wracasz do domu a tu ci ze wszystkich stron grają z okien przedziwne instrumenty. Dobrze, że puźności mają w zwyczaju wcześniej kłaść się na spoczynek. Można by mieć wrażenie, że archańskie trąby zagrały ostatni apel na Dolinę Józefata. Filharmoników opętał szal ćwiczenia do najbardziej fantastycznych godzin nocy. Wreszcie „Łagów” zasnął, ale nie wszystkich, bo oto w zamkowym mieszkaniu Stanisława Wiśłockiego odbywa się wobec trzech — czterech zaproszonych gości pierwsze „przeprawy” środkowej części „Koncertu fortepianowego”. Autor — Wiśłocki siedzi przy klawiaturze i ze szkicowych kart gra te dzwiny i ujmującą muzykę. Pod ścianą na fotelu siedzi Stanisław Szpinalski i bacznie słucha. Będzie „coś” z tego grania i z tego słuchania. Poznań zapozna się z tym nowym dziełem muzycznym i z całą pewnością tak entuzjastycznie przyjmie utwór, jak to uczyniono owej gwiaździstej nocy w Łagowie.

We środę Wiśłocki pojechał do Warszawy w interesach a na podium wszedł Jan Krenc, nowopozyskany dyrygent do Poznania. Ten dla odmiany nosi białą „kanadyjkę” i takż sam uśmiech, jaki ma w repertuarze młodzież. Sumiennie ćwiczy Krenc efektowną „czwartą” Czajkowskiego, nieznaną w Poznaniu symfonię Filipa Emanuela Bacha. Ostatnio na pulpitych pojawił się „Nokturn” Szeligowskiego. Dyrektor Filharmonii z zapałem łowi ryby, ciągle odbywa narady z kontrabasistami, którzy zgodnie kręca jakieś postonki, „gruntówki” i wędki. Podobno złapał kiedyś węgorka i od razu zjedł. Brrrr... Ale i tę wewnętrzną tajemnicę zdradzę wam, że Szeligowski skończył komponować balet „Paw i Dziewczyna”. Rolę Pawia oczywiście

tańczyć będzie Bittnerówna a Dziewczynę? W Łagowie cudowny krajobraz i spokój bukowemu lasu szczególnie sprzyja kompozycji. Jan Krenc zabiera się do drugiej części swej symfonii, Młodziejowski zapewnia, że ma gotową „Kantatę słowiańską” na orkiestrę i męski chór do słów Zegadłowicza.

We czwartek i piątek końcowe dni. Kursu Dyrygenckiego. Zjechali się tu bowiem w połowie sierpnia z całej Ziemi Lubuskiej dyrygenci i organiści w liczbie 16, by wysłuchać 60 godzin wykładow z dziedziny: elementów polskiej kultury, zasad muzyki, zasad harmonii, instrumentoznawstwa praktycznego, metod lekcji słuchania muzyki, głównych zasad dyrygowania orkiestrą, emisji głosu, zagadnień formalnych, organizacji chórów mieszanych i męskich. Wykładali te przedmioty: Karol Broniewski, Jan Krenc, Ludwik Luboński, Młodziejowski, Szeligowski, Szeligowski i Wiśłocki. Kursiści brali udział — biernie — w próbach orkiestry i z zapałem wysłuchali koncertu fortepianowego, jaki im podarował ze skarbca swego uczynnego serca Stanisław Szpinalski. Grał Bacha, Beethovena, Chopina i Szeligowskiego. Interesującym dodatkiem do tego koncertu były recytacje „Sonetów instrumentalnych” Hulewicz. W sobotę, w sali jadalnej Zamku odbył się koncert kameralny, na którym wobec kursistów i szeregu zaproszonych a bardzo dostojnych gości młodzi filharmonicy odegrali „Serenadę” Beethovena na flet, skrzypce i altówkę oraz „Suite” Młodziejowskiego na flet, obój, waltornie, skrzypce, wiolonczelę i kontrabas. Po koncertach kursiści otrzymali świadectwa ukończenia kursu. Szesnastu muzyków pojeździe do swych miasteczek lubuskich i ci właśnie poprowadzą „u siebie” życie muzyczne. Dobrze to było grono, dobre i mili słuchacze!

Pewnego dnia w połowie tygodnia zjechało do Łagowa auto Radiostacji Poznańskiej. Miano nagrać na płyty „fragmenty” z życia Filharmonii. Sam Mistrz Łukasiewicz wygramolił się na szczyt wieży i podziwiał setki kilometrów kwadratowych krajobrazu a technicy radiowi z p. Borowiczem na czele dokonali migawkowych zdjęć, dźwiękowych. Pojechali!

W sobotę na murach dwóch starożytnych bram i kilku ścian domów ukazywały się afisze z zapowiedzią wieczoru autorskiego Kazimierza Hłakowiczówny. W bezinteresownie na ten cel odstąpionej sali „Skarbowca” zeszło się bardzo dużo publiczności, wobec których znakomita poetka odczytała szereg „rumuńskich” wierszy i opowieści o swym pobycie podczas okupacji w rumuńskim mieście Cluj. Wizyta Hłakowiczówny zesłała się z wiadomością prasową o decyzji osiedlenia się poetki na stałe w Poznaniu. No i cóż? Jesteż Poznań Beocją?

Podczas niedzielnego nabożeństwa tercet trzech puźonów w towarzystwie tuby grał szereg specjalnie na ten cel ułożonych utworów. Wieczorem towarzystwo rozproszyło się po Łagowie, a ze środka jeziora dochodził długi w noc srebrzysty śmiech kobiecy. To pani Bogajewiczowa reagowała na opotowane jej „kawale” a ryby w jeziorze podały sobie radosny sygnał: „Uwaga rybki! Szeligowski odstawił wędkę i czyta popularny podręcznik astronomii! Do zabawy!”

I taka to jest tygodniowa kronika tego Łagowa Lubuskiego. Województwo poznańskie nawet się nie spodziewa, jak tu pięknie. Jerzy Korab

Charakterystyka czytelnictwa

w bibliotekach publicznych

Ważną pożytką działalności kulturalno-oświatowej są biblioteki. Dostarczają one materiałów dla samouków i rozrywki dostępnej dla każdego. Każdy do nich ma dostęp i wybiera dowolnie książkę odpowiadającą jego zainteresowaniom. Zainteresowania są bardzo różnorodne. Fragmentaryczny przegląd zainteresowań czytelników opracowano w jednej z większych wypożyczalni poznańskich, a mianowicie w wypożyczalni „Czytelnika”. Oto co mówi statystyka wypożyczalni za okres od 1 stycznia 48 r. do chwili obecnej:

Najliczniejszą grupę czytelników stanowią inteligencja pracująca. Jest to element czytelnictwa trudny do charakteryzowania, czytający bardzo wszechstronnie. Poloniści i dziennikarze interesują się specjalnie literaturą powojenną. Inżynierowie, technicy, szukają dzieł z zakresu ich specjalności. Urzędnicy państwowi i samorządowi interesują się książkami z zakresu prawa. Pracownicy biur handlowych i fabrycznych, kierownicy, szukają naukowej organizacji pracy i prac z zakresu planowania gospodarczego. Przez wszystkie grupy inteligencji przewija się zainteresowanie wspólne: aktualności, Cronin i książka „Przemienień z wiatrem”. Grupę czytelników akademickich charakteryzują zainteresowania programowe. Oto przykłady najbardziej poszukiwanych przez nich książek: — Rogalski „Anatomia”, Kamiński — „Elementy chemii fizycznej”, Wilkowski — „Elementy matematyki wyższej”. Jest rzeczą znaną, że lektura fachowa uprawiają studenci wydziałów matematyczno-przyrodniczych i politechnicznych. Humanisci, prawnicy, ekonomiści nie objawiają większego zainteresowania dziełami z ich specjalności. Zainteresowania programowe charakteryzują także inną grupę czytelników, mianowicie uczniów gimnazjum i liceum. Na ogół żądają oni lektury szkolnej którą czytają, bo muszą. Od czasu do czasu wezmą Meissnera lub Fiedlera. Tylko w nielicznych wypadkach przejawiają własne oryginalne zainteresowanie. Większą swobodę w wyborze lektury wykazują uczestnicy kursów zawodowych wieczorowych i dokształcających. Interesują ich życiorysy sławnych ludzi, nauki społeczne i technika. Zdarza się, że czytelnicy tej grupy żądają obok wydawnictw poważnych „Biblioteki Wiedzy”, „Mathesis Polskiej”, „Wiedzy Powszechnej” książek o treści sensacyjnej i romantycznej. Na ogół obserwuje się w tej grupie czytelników poważny stosunek do książki. Młodzież żeńska znajdująca się poza szkołą interesuje się naukami moralnymi, sięga do książek zawierających wskazówki praktyczne dotyczące gospodarstwa domowego, robót ręcznych i dopytuje o książki opisujące udział kobiet w ostatniej wojnie światowej. Obok tego książki o treści obyczajowej cieszą się niesłabnącym powodzeniem zarówno wśród czytelników starszych jak i młodszych. Sympatią bez zastrzeżeń darzą nasze czytelniki Rodziewiczównę, Zapolską, Lagerlöf, Mniszkównę i Dolegę — Mostowiczą. Wśród kobiet, zwłaszcza niepracujących zawodowo, brak zupełnie zainteresowania dziełami naukowymi, chyba, że znajdują się w nim książki o miłości sławnych ludzi. Do nowości odnoszą się z dużą rezerwą i raczej powracają do książek dawniej czytanych. Wyjątkowo zdarzają się w tej grupie kobiet

jednostki interesujące się zagadnieniami społecznymi, wychowaniem dzieci, a nawet historią literatury. Większość kobiet szuka w książce rozrywki i oderwania się od szarej rzeczywistości. Czytelnicy dorosli — robotnicy, czytają najchętniej powieści historyczne i społeczne. Do najpopularniejszych autorów należą: Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Reymont, Morcinek, Rusinek, Łukasiewicz, Gojawiczyńska i Szmagłewska. Ostatnio także powodzeniem cieszy się książka Marii Dąbrowskiej „Noce i dnie”. Obok powieści szukają książki o znaczeniu praktycznym, podręczników fachowych, fizyki, chemii i technologii. Odbijają się tutaj potrzeby nowego ustroju gospodarczego. Czasem zdarza się, że czytelnik — robotnik żąda astronomii, anatomii lub książki lekarskiej. Z wolnych zawodów tylko nieliczni przedstawiciele odpowiadają wypożyczalni. Prawdopodobnie w pogoni za pieniądzem nie ma czasu na czytanie. Największą sympatią bibliotekarzy cieszy się najmłodsza grupa czytelników w wieku od 8—15 lat. W grupie tej, zwłaszcza wśród najmłodszych, zachęca się wyraźnie podział na chłopów i dziewczęta. Dziewczynka szuka w wypożyczalni bajki, baśni, opowiadań fantastycznych lub rzewnego. Nazwiska autorów nie pamięta, zresztą nie przywiązują do nich żadnej wagi. Życzenia ich są zawsze wypowiedziane tytułami, z góry określającymi treść zawartą w książce. Słyszy się więc: „O kaczce, co kaszkę warzyła”, „O dwunastu z zapiecką”, „Ala w krainie czarów” itd. Dopiero po długim uczęszczaniu do wypożyczalni padnie z ust małej czytelniczki jedno czy drugie nazwisko autora. Zamiłowanie do baśni trwa wśród dziewcząt długo, do tego czasu nawet kiedy czytają już powieści pensjonarskie. Ich najbardziej ulubionymi autorami są: Montgomery, Amicus, Czarska, Gojawiczyńska — „Dziewczęta z Nowolipki”, Makuszyński. Z książek popularno-naukowych interesują się życiorysami wielkich ludzi, sztuką zachowywania się w towarzystwie. Działy nauk społecznych, przyrodniczych i stosowanych nie mają zupełnie wzięcia. Chłopcy — ci najmłodsi, początkowo tak samo jak dziewczęta, żądają baśni i powiastek fantastycznych. W miarę jak w wypożyczalni spotykają chłopców starszych wyśmiewających ich zainteresowania, przechodzą do działu przygód i wstydzą się swego poprzedniego „mazgajstwa”. Przyjemność sprawia im przewracanie katalogu, robienie „mądrej miny” i wymienianie nazwisk autorów. Najczęściej powtarzającymi się autorami są: Verne, May, Twain, Curwood, Cooper, niektóre książki Londona i Sienkiewicza „W pustyni i puszcy”. Chłopcy czytają z olbrzymim zapałem i zainteresowaniem. Przeczytane książki silnie przeżywają. Poza światem przygód interesuje ich świat techniki, a więc: radio, lotnictwo, armaty, okręty, itp. Wyobrażają sobie ten świat jako nie mniej fantastyczny jak świat przygód.

Delegatura Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” w Poznaniu zaopatruje w książki również prowincję. Książki te są wysyłane w formie zestawów wymiennych do punktów. Z punktów otrzymuje sprawozdania, na podstawie których czyni obserwacje czytelnictwa na prowincji. Fragmenty obserwacji ukazują się w jednym z następnych numerów „Głosu Wielkopolskiego”.

Adam Didur, długoletni artysta opery „Metropolitan House” w Nowym Yorku był świadkiem ciekawego zdarzenia, jakie miało miejsce w tym słynnym teatrze. Było to podczas próby generalnej „Cyganerii”, w której miał wystąpić po raz pierwszy na deskach „Metropolitanu” młody wówczas Gigli. Na próbę przyszedł również ówczesny pierwszy tenor tego teatru, nie kto inny jak wielki Caruso.

Caruso słuchał Gigli’ego z wzrastającym zainteresowaniem, a gdy próba się skończyła powiedział do Adama Didura: „Gdy on (t. j. Gigli) zacznie tu śpiewać, ja muszę odejść”.

Jakkolwiek wszelkie porównania w sztuce z punktu widzenia indywidualnego artysty są sąkolpne i de facto nie mają sensu, lecz ze względu na to, że Gigli’ego uważa się za następcę Carusa, ośmielię się na próbę porównania tych dwóch tenorów.

Otóż niewątpliwie głos Carusa podi-

Literatura

Bardzo korzystne widoki otwierają się dla życia kulturalnego w Poznaniu w nowym sezonie. Przede wszystkim osiedliło się w nim kilku wybitnych literatów i to nie pisarzy tworzących cicho w pracowniach, aby tylko od czasu do czasu ośnić publiczność nowym dziełem, ale biorących czynny udział w tempie pracy dzisiejszego społeczeństwa. A więc przede wszystkim: Roman Brandstaetter został mianowany kierownikiem literackim Teatru Polskiego i zagospodarował się na dobre w naszym mieście. Obecnie pracuje nad trylogią dramatyczną. Będzie to „Saga Piastowska” obejmująca dramaty: „Henryk Probus”, „Przemysław II” i „Łokietek”, ciekawe i nieruszone dotychczas tematy historyczne. Terenem akcji dwóch ostatnich jest Poznań. Środkowa: „Przemysław II” świeżo ukończona, wejdzie w ciągu sezonu niechybnie na scenę Teatru Polskiego i stanowić będzie niezwykle interesującą prapremię. Lanseuje się już projekty wystawienia jej w plein-airze na wzgórzu zamkowym, na ile szczytów zamku Przemysława, ale to nie przedzie chyba jak z dzieła wiosna. W tej chwili wyszła z druku praca Brandstaettera: „Kroniki Asyżu” nakładem Książnicy Atlas, o św. Franciszku. W najbliższych dniach ukaże się na rynku księgarskim. Kazimiera Iłkowićówna od jakiegoś już czasu bawi w Poznaniu i szuka mieszkania. Bywalec „czwartków literackich” będą mieli okazję poznać ją na jednym z nich, a wiersze jej czytać w „Świecie”. Arkady Fiedler wrócił do kraju i spodziewamy się go w Poznaniu. Poza tym mówi się o innych pisarzach tak zwanych „mocnych pozycjach”, ale za wcześnie jeszcze byłoby zdradzać nazwiska.

Teatr

Teatry gorąckowo przygotowują się do nowych sezonów. Dyrektor W. Horzyca na gwałt montuje sztukę „Wilki w nocy” Rittnera, tłukąc próby niemal dniami i nocą. Wejdzie ona w najbliższych dniach na scenę Teatru Polskiego, ale będzie — jak się zaznacza — pozycją przejściową, w gwarze i chaosie krystalizowania się nowego zespołu. Prawdziwe otwarcie sezonu nastąpi jakimś odpowiednio poważnym spektaklem, którego tytułu jeszcze do wiadomości nie można. Zespół dyr. W. Horzyca składa się z około 60 artystów i obsługiwać będzie trzy teatry: Polski, Objazdowo-Kameralny, dla którego zasadniczą sceną będzie prawdopodobnie sala przy ul. Słowackiego, a terenem objazdów Wielkopolska i Teatr Ziemi Lubuskiej ze stałą siedzibą w Gorzowie. Na miejscu kierownikiem artystycznym tego ostatniego będzie dyr. T. Rychłowski (administracyjno-organizacyjnym: Rosiński) pod ogólnym nadzorem dyr. Horzycy. Część artystów zamieszka na miejscu, inni dorywczo z Poznania delegowani będą.

Dyr. Szczerbowski pozostaje nadal przy swoich dwóch scenach: w Teatrze Nowym i Komedii Muzycznej. Zreorganizował i skompletował zespół, angażując nowe siły i aczkolwiek nie chce ich jeszcze wymienić, zdekonsolidował pierwszą trójkę w sztuce: „Człowiek za burtą” Cwojdzńskiego, a publiczność poznałszy w tej z werwą odegranej komedii: Danutę Korolewicz, Wacława Ścibora i Stanisława Janowskiego, śmiało powiedzieć może: „Tylko tak dalej, a będzie doskonałe”.

Teatr Alety i Lalki, mimo zapowiedzi zamknięcia, wyszedł z trudności zwycięsko: Kuria parafialna przedłużyła kontrakt sali na jeden rok i dyrektorka Helena Lubiec otworzy w połowie września sezon sztuką: M. Kow-

Jeden z najdziwniejszych i najbardziej tajemniczych cudów chemii następuje w chwili, kiedy promień światła pada na kryształki bromku srebra. Jeden kwant energii świetlnej wyzwala wówczas ściśle jeden atom srebra. Z chwilą zalania naświetlonego bromku pewną substancją chemiczną, zwaną wywoływaczem, bromek przeistacza się w srebro metaliczne. Taką „alchemię” srebra uprawiać może każdy z nas od stu lat w maleńkiej skrzynce aparatu fotograficznego.

Należy pamiętać, że fotografia to nie tylko banalne portrety i krajobrazy w witrynach zakładów fotograficznych o profesjonalnych nazwach. Dzięki wynalazkowi fotografii możemy dokładnie mierzyć natężenie światła w różnych miejscach kuli ziemskiej, określać ilość ozonu w atmosferze oraz miejsce i siłę trzęsienia ziemi. Możemy badać układ atomów w pierwiastkach, odróżnić dzieło mistrza starej holenderskiej szkoły od fałszyfiku i perłę prawdziwą od wyhodowanej sztucznie. Możemy zidentyfikować odcisk palca kaliber broni i pocisku, podpisy na czekach. Możemy wykryć gdzieś umieszczone pociski w ciele ranego żołnierza i ogniska zapalne w płucach gruźlika. Fotografia odkrywa nowe mikro- i makroświaty, zabawia i uczy. Dzięki fotografii lotniczej możemy tworzyć nowe doskonałe dokładne mapy. Dzięki fotografii dokonane z wysokości stratosfery urzeczywistniły przed parą laty po raz pierwszy w dziejach naszego globu — kulistość horyzontu ziemskiego.

Społeczne znaczenie fotografii jest ogromne, zwłaszcza w dziedzinie upowszechnienia kultury. W Związku Radzieckim popiera się szeroko fotografię jako sztukę dla mas.

Jako sztuka? Tak, gdyż fotografia jest również sztuką samą w sobie.

Nowoczesna soczewka aparatu fotograficznego istotnie widzi i przekazuje obraz z idealną geometryczną dokładnością. Natomiast oko ludzkie ma kilka bardzo pożądaných wad, które sprawiają, że widzimy inaczej niż rzecz wygląda w istocie, ciekawiej i piękniej. Głównym sprawcą tego jest zewnętrzną część oka, otoczona warstwą błon i zawierająca w sobie mikroskopijne cząsteczki stałe. Promień światła przechodząc przez tę warstwę ugina się, zmniejszając kontury obrazu. Ugina się to następuje najsilniej w miejscach styku ciemnych i jasnych plam obrazu, dzięki czemu wokół konturów przedmiotu tworzy się złuda aureoli świetlnej, która wywołuje jasny słoneczny nastrój. Każdy z nas widzi zresztą inaczej, zależy to od grubości wspomnianej warstwy błon. Malarze różnie zniżają nawet tzw. mokre i suche pałtrzenie na świat, o jasnych i ciemnych konturach.

Obiektyw fotograficzny przeszedł w tym względzie znamienną ewolucję. Pierwsze soczewki były prymitywne, dawały obraz nieostry ale miękki, bardziej zbliżony do obrazu oka. Potem

nackiej „O Zaczku-Szkołaczku i o Sowidrzale”, w której wystąpią kukielki i żywi aktorowie równocześnie.

O Teatrze Wielkim opowiem w następnym przeglądzie.

Nowe pismo artystyczne

Najbardziej sensacyjną wiadomością jest zapowiedź nowego czasopisma artystycznego mającego wychodzić w Poznaniu od 1 października. Będzie to miesięcznik: „Echo teatralno-muzyczne”. Poznań, jako siedziba pierwszej w Polsce opery, doskonałego baletu, fil-

i alchemikach srebra

przyszły super-anastygmata o dużej siły światła i idealnej ostrości. Oczywiście dają one zdjęcia wyraźniejsze i dokładniejsze, ale zdjęcia te nie podobają się, robią wrażenie czegoś nie-naturalnego, są zbyt odmienne i dużo brzydsze od tego, co spostrzegamy gołym okiem.

Ostatnio pojawiły się soczewki zmniejszające, które mniej więcej zbliżyły obraz odbitki do obrazu oka. Dzięki wynalazkowi soczewki miękko rysującej otworzyło się szerokie pole dla fotografików. Gadulestwo anastygmatów zostało skasowane, kontrasty osłabione, balast niepotrzebnych szczegółów odpadł. Artysta-fotograf zdobył możność narzucenia swej subiektywnej wizji i oddanie nastroju. Zamiast dawnej analizy modelu soczewka zmniejszająca daje jego impresyjną syntezę.

Fotograficy-artycy posługują się niekiedy różnego rodzaju uszlachetniającymi technikami, polegającymi — mówiąc z grubsza — na retuszu (nieraz bardzo istotnym) negatywu bądź pozytywu. Znaczna część miłośników fotografii odrzuca zdecydowanie te metody, jako niegodne sztuki fotograficznej i stojące na pograniczu malarstwa oraz grafiki. Nawet jeżeli odrzucimy techniki „uszlachetniające” fotografik ma dziś dostateczną ilość elementów artystycznych, jak kompozycyjne wyodrębnienie motywu, duża skala światła i cieni, możliwość unikania zwykłych kontrastów itp., aby przez długi jeszcze czas dostarczać nam pięknych i nowych wzruszeń estetycznych. Trzeba tu podkreślić rzecz szczególnie ważną w naszych współczesnych czasach. Dziedzina pracy ludzkiej jest dotychczas w polskiej fotografii niemal nieknięta. Człowiek pracy i sama praca czekają u nas na swoich wielkich piewów także i w dziedzinie fotografii. Ile tu wypłyne nowych motywów, nowej treści i nowej formy — można się tylko domyślać.

Maniakalna pogoda za ekscentrycznością, którą obserwujemy w wielu dziedzinach współczesnego życia kulturalnego, nie ominęła niestety i sztuki fotograficznej. Od czasu do czasu pojawiają się na horyzoncie fotografii niespokojne duchy nowatorskie, wywołując niepokój i zamęt w zamkniętym światku amatorów. Dobrze jeśli są to artyści z bożej łaski, ci Picassowie fotografii. Ich nowatorstwo zawsze w końcu się do czegoś przyda. Eksperymenty byle szczerze i samorodne są zawsze pożyteczne w sztuce. Gorzej jeśli są to spekulacje miernot, które wyrozumowanym — pożałujcie Boże — „surrealizmem” chcą nadrobić braki jaskrawokolorowego talentu. Na zachodzie a także na wschodzie, krótka epoka fotografowania śrubek, żarówek, kawałków drutu i kropel atramentu rozpuszczającego się w przezroczystej cieczy — skończyła się już przed dobrą dziesiątką lat. Światowa fotografia kroczy dziś prostą drogą obiektywizmu i realizmu.

Zygmunt Jaski

harmonii, dobrego teatru, posiadający kilku wybitnych muzyków, jak np. kompozytora dra Szalagana, publiczność wyrobionych melomanów, jest chyba stworzony na to, aby się stać muzyczną stolicą kraju. Z tego faktu zdalo sobie sprawę kilka jednostek i myśl, która — jak twierdzą — wisiała w powietrzu i dojrzewała, chwyciło i skryształizowało w projekcie stałego periodyku, o nieznanym jeszcze w nowej Polsce, obliczu. Do komitetu redakcyjnego wchodzi jako pierwszy: Roman Brandstaetter, dalej: S. Hebanowski, T. Szeliowski i dr Szalagan. Pismo będzie ilustrowane.

Zapomniane są te czasy, kiedy np. śpiewaczka XVIII wieku Viardot — Garcia potrafiła śpiewać z niestychnącą brawurą koncerty skrzypcowe, a śpiewak Gura dysponował aż trzema rodzajami głosów tenorowych, barytonowym i basowym, lub kiedy śpiewaczka Paulina Lucca przetrzała się z śpiewaczki koloraturowej w dramatyczną heroinę. Uniwersalne śpiewaczki są dziś rzadkością, a jeśli się pojawiają — zwłaszcza u nas — niedoceniane. Wpływ Ryszarda Wagnera był wielki, gdyż kompozytor ten poza swoją twórczością przeprowadzał reformę opery również z pomocą pism i enuncjacji polemicznych. Dziś śpiewacy prawdziwie belcantowi rodzą się tylko w Italii i Rosji Radzieckiej, gdzie zachowały się tradycje pięknego śpiewu. I dziś możemy słyszeć wielkich mistrzów śpiewu zdolnych do wywołania wzruszeń artystycznych.

Rozpocznie od tego, którego uwielbia cały świat, a po śmierci Carusa uważany jest za króla tenorów. To Beniamino Gigli, ulubieniec nie tylko bywalców operowych, ale i entuzjastów jego filmów dźwiękowych oraz płyt gramofonowych. Sprytni właściciele wytwórni filmowych potrafili wykorzystać nie tylko fenomenalny głos, ale i talent aktorski artysty, stwarzając takie scenariusze filmowe, żeby osoba śpiewaka i jego talent były zawsze ośrodkiem artakcyjnym całej akcji. Wspom-

nę choćby ów przedwojenny film, w którym w końcowej scenie przesuwa się jak w kaleidoskopie przed zdumionym widzem fragmenty najwybitniejszych kreacji operowych Gigli’ego, poczynając od lirycznego Rudolfa w „Cyganerii” — poprzez „Aidę”, „Carmen”, i „Toscę” aż do dramatycznego verduńskiego „Otella”. Jasnie tam w całym blasku potęg talentu śpiewaka i wspaniale bogactwo jego głosu.

Adam Didur, długoletni artysta opery „Metropolitan House” w Nowym Yorku był świadkiem ciekawego zdarzenia, jakie miało miejsce w tym słynnym teatrze. Było to podczas próby generalnej „Cyganerii”, w której miał wystąpić po raz pierwszy na deskach „Metropolitanu” młody wówczas Gigli. Na próbę przyszedł również ówczesny pierwszy tenor tego teatru, nie kto inny jak wielki Caruso.

Caruso słuchał Gigli’ego z wzrastającym zainteresowaniem, a gdy próba się skończyła powiedział do Adama Didura: „Gdy on (t. j. Gigli) zacznie tu śpiewać, ja muszę odejść”.

Jakkolwiek wszelkie porównania w sztuce z punktu widzenia indywidualnego artysty są sąkolpne i de facto nie mają sensu, lecz ze względu na to, że Gigli’ego uważa się za następcę Carusa, ośmielię się na próbę porównania tych dwóch tenorów.

Otóż niewątpliwie głos Carusa podi-

względem timbru głosu był wyższy co do jakości i piękności, Caruso posiadał również więcej poezji, duszy, a śpiew tego artysty wibrował gorętszym żarem uczucia, lecz jeśli chodzi o samą technikę wokálną, to Gigli nawet Caruse w tym kierunku przerastał. Już z natury obdarzony nadzwyczajnymi warunkami głosowymi (zapewne i laryngologdy musieli by stwierdzić nadnormalną u Gigli’ego grubość i długość strun głosowych pozwalającą na bogate zabarwienie zarówno wysokich, jak niskich tonów) Gigli nigdy nie forsuje głosu, śpiewa naturalnie, jakby mówił, a przy największym natężeniu dynamicznym nie odczuje słuchacz ani zmęczenia, ani forsowania głosu. Odech jest tu użyty z najwyższą ekonomią, a wszystkie narzędzia śpiewania jak podniebienie, wargi, język funkcjonują u tego tenora w sposób doskonały, przy czym dykcja polegająca na czystości samogłosek i jasnym śpiewaniu spółgłosek, jeden z warunków mistrzowskiego belcanta, jest bez zarzutu. Przy tych warunkach może artysta ten śpiewać największe partie bez najmniejszego zmęczenia, gdyż technicznie opanował swój głos w zupełności. To prawdziwy mistrz. Dzięki Carusie i Gigli’emu tenorzy znowu są poszukiwani i najwyżej opłacani na giełdzie muzycznej. I nic nie pomoże niedocenianiu wysiłku śpiewaka, na którego sztukę składa się nie tylko głos, ale

wieloletnia nad nim praca. Nie

wszyscy zdają sobie sprawę, że kilku-nastominitowa produkcja koncertowa, czy śpiewanie partii operowej wymaga wielkiego wysiłku duchowego i fizycznego, a sukces zależy nie tylko od talentu, ale warunków wśród których artysta pracuje i jego ogólnej dyspozycji.

Słuchacz zazwyczaj nie pamięta wielu wzruszeń jakich doznawał od jednego artysty operowego, doskonale natomiast notuje i komentuje choćby jeden mniej udany jego występ. I nie jeden nawet wielki miłośnik artysty bez względu na dziedzinę sztuki doznawał obok triumfów i klęsk w swoim zawodzie. Carusę Neapolitańczyk wygwizdali, młodemu Paderewskiemu odmówił swego czasu jeden z czołowych muzyków talentu i warunków do kariery muzycznej. Ze wzruszeniem słuchałem zawsze śpiewu słynnej koloraturowej śpiewaczki Amelii Galli-Curci, która przez kilkanaście lat czarowała swoim głosem audytoria stolic całego świata, lecz nagle z powodu wstrząsu psychicznego straciła głos i musiała wycofać się z widowni. Dziś pozostała po niej tylko pamięć na płycie gramofonowej, która daje pojęcie o pięknie niezrównanym jej sopranu, o nieskazitelnosci i perfekcji jej koloratury.

Do krajów w których obok Italii stoi najwyżej zarówno śpiew solowy jak zbiorowy należy Rosja Radziecka i kto słucha recitali wokalnych i audycji o-

perowych transmitowanych przez tamtejsze rozgłośnie radiowe może się o tym przekonać. Śpiewacy tej miary co basista Michajłow, tenorzy Kozłowski i Lemieszew, śpiewaczki Barsowa, Maksakowa, Elwira Pachur lub Pantofel — Niemcowska świadczą nie tylko o bogactwie materiałów głosowych, ale i wysokim poziomie kultury i techniki wokalne dzisiejszej Rosji Radzieckiej, gdzie rząd otacza tak wielką opieką muzykę i artystów, a państwo łoży chętnie sumy na utrzymanie organizacji muzycznych. Żaden kraj na świecie nie posiada tej miary śpiewaczek co np. taka Natalia Spiller lub tak fenomenalnych chórów, jak zespół Świeżnikowa. Natomiast Włosi posiadają najlepszych barytonów, a u nas rodzą się — zaryzykuje to twierdzenie — najpiękniejsze głosy tenorowe (Mierzwiński, Mysyuga, Dygas, Gruszczyński, Kiepusa, Bewal Woliński Gołębiowski, Roy).

Dzisiejsza muzyka operowa wyzwoliwszy się od wpływów Wagnera, Ryszarda Straussa i Schönberga zaczyna wracać do tradycji wielkiej epoki klasyców, do tego skarba, z którego zaczerpnęła swe bogactwo cała muzyka europejska, a który jest dziś obok ludowego folkloru właściwym źródłem natchnienia.

(Dokończenie nastąpi)

Międzyzdrojskie refleksje

Witold Degler

W minionym akurat miesiącu sierpieniu nikt z przebywających nad morzem letników na nadmorskiej skarpie się nie miał prawa. Nie powiem, żeby go całkowicie nie dostawało. Owszem od czasu do czasu wyjrzało spoza kłębiasto-pierzastych chmur (określenie ze słownika Instytutu Meteorologicznego) i uśmiechnęło się przyjaźnie do swych wytrwałych wyznawców na plaży. W takim momencie żądne opalenia niewiasty, kulące się w koszach przed zimnem, wyskakiwały czym prędzej na wilgotnawy piaseczek i w pozie niedbałej a uroczej zwracały ku słońcu stęsknione ramiona i uda. Niedługo jednak trwała ich radość. Po jednej lub najwyżej dwóch minutach wiatr przyganiał jakiś ogromny obłok i panie wędrowały z powrotem do kosza, powiedzmy na 8 minut.

Grając w brydża na zasłoniętym od wiatru tarasie nadbrzeżnej knajpki z żywym zainteresowaniem śledziłem te manewry, dziwiąc się niepomiarnie anielskiej cierpliwości przedstawicieli płci pięknej, cierpliwości w ramach tzw. domowego ogniska rzadko spotykanej.

O ile by można wysuwać te czy inne zastrzeżenia czy pretensje pod adresem słońca, to w odniesieniu do morza ograniczę się tylko do lakonicznego stwierdzenia: było po prostu wspaniale!

Parę razy szalał sztorm. Bałwany 2-metrowej wysokości gonili się i mowowały zawzięcie lub też w nagłym porozumieniu zalewały plażę aż do granicy wydm. Przypadkowe promienie słońca zabłąkane w kłębowisku chmur rozszarpały swe światło na całą gamę kolorów tęczy i rozplywały się bez śladu lub też drażyły uparcie ciemną zielenią fal, starając się ją rozjaśnić w odcień seledynu. — Na nic nie zdały się te wysiłki; słońce było niemrawe i morze — mówiąc językiem ringu — miało w tych zapasach wyraźną przewagę. Z rykiem i szumem pędziły gdzieś spoza linii horyzontu coraz ciemniejsze masy wody aż w końcu stała się ona prawie czarna, tylko tu i ówdzie znacząca dla kontrastu białymi grzbietami gotującej się piany.

Śmiałków, którzy w tych dniach burzy wazyli się na kąpiel spotykała zasłużona nagroda. Choć zimny wiatr odstraszał przed wejściem do wody, uderzenia bałwanów rozgrzewały momentalnie. Dać nurka pod spiętrzoną falę, pozwolić się smagać rozpryskującym się w tysiące kropel bałwanom stanowiło przyjemność zgoła niecodzienną.

Bywały i dni cisy. Wówczas fale migały tysiącem ogników a pierwsze 20 m od brzegu zaludniały nadobne syreny pływające rozkosznie i wystawiając swe kształty na łup obiektywów plażowych fotografów. Taksa tych ostatnich wydała mi się zresztą dość słona, wynosiła bowiem 300 zł od odbitek.

W ub. sezonie, jeśli chodzi o prognozę pogody na dzień następny, sytuacja była o tyle ułatwiona, że w centrum deptaka znajdował się zepsuty barometr, wskazujący chronicznie na „schoenwetter”. W międzyczasie barometr wyszabrowano i trzeba było szukać innych zastrzyków optymizmu. Mianowicie wieczorem szło się zwykle na moło i tam „specie”, tzn. ci, którzy siedzieli już w Międzyzdrojach co najmniej tydzień, ze znaków na niebie i wodzie wysnuwali różne bardzo pocieszające przepowiednie. Miały one jednak ten mankament, że nigdy się nie sprawdzały.

Kiedy schowany w mrokach nocy stałem na moło i obserwowałem rzęście światła również na moło ale w położonym już po drugiej stronie granicy Fischersdorfie nasuwały mi się rozmaite mniej lub więcej filozoficzne refleksje:

Ot np. po co od dziesiątek tysięcy ludzi, którzy w tym roku przyjechali do Międzyzdrojów pobiera się takse kuracyjna, skoro nic się nie inwestuje? — Nie ma oświetlenia, samo moło jest już w połowie zamknięte „ze względu na zagrożenie niebezpieczeństwem” a do przyszłego sezonu być może całkowicie się rozleci. Nie tylko nie widzi się inwestycji, ale niszczy się to i owo. Na przykład kosze na plaży. Opatkę po 50 zł od łabka pobierano codziennie skrupulatnie, ale nikomu z zarządzających tym koszowym interesem nie wpadło na myśl, by w dniach sztormu odsunąć je od brzegu i zabezpieczyć przed zniszczeniem. W konsekwencji morze hulało po nich swobodnie i spora część koszy w Międzyzdrojach — a w Międzywodziu prawie wszystkie — przedstawiały po sztormie obraz kompletnej ruiny.

Cieszyłem się doprawdy, gdyby ktoś z osób kompetentnych udzielił mi odpowiedzi na nie tak znów bardzo bezsensowne pytanie: Na co obraca się wpływ z taksy kuracyjnej?

Jan Brzeski

FRASZKI

Koguty

Raz dwa koguty równej piórek maści na jedno wpadły podwórze, by skoczyć na się w zajeżdżonej napaści! Typowi koledzy po piórze.

Nieporozumienie

— Idziesz na zabawę? — pyta Jaś Ignaca.
— Poszedłbym chętnie, dziś nie mam roboty —
ale mi powiedz, czy to się opłaca?
— No, oczywiście! Za wstęp 200 zł!

Malarz

Choć mu na widok kobiet serce mięknie, bierze się przecież z ogniem do nauki. Cóż on studiuje? Ponoć sztuki piękne — lecz moim zdaniem raczej piękne sztuki.

Powieściopisarz

— Już inna miłość, panie Stefanie? Nową sympatię czule pan pieści? —
— Pogiebiam studia przed napisaniem realistycznej powieści.

Cudowne dzieci

Dzisiejsze dzieci, to już nie te co kiedyś: skromne, zastraszone z jednym lub dwoma palcami w buzi. Przykład: Edzio i Alek po powrocie z kolonii letnich, zamiast rzucić mi się na szyję z radosnym szczebiotem „Tatulu!”, podali z powagą swe rączki, pozwolili się la-



skawie pocałować w czoło i pytali: — No, jak się czujemy, ojcze?

Na zapytanie jak im się podobały kolonie, Alek odparł:

— Co tu dużo gadać. Strona organizacyjna szwankowała w sposób najbardziej wyzywający.

— Tak — dodał Edzio — kierownictwo nie potrafiło zapewnić uczestnikom kolonii znośnej chłody pogody. Na skutek ciągłych deszczów, większość czasu spędziliśmy w świetlicy, oddając się lekturze gazet i tygodników...

— A w kotka i myszkę nie bawiliście się?

Chłopcy spojrzeli na mnie z wyrazem wszystkiego wybaczonego politowania, jakby ubolewając, iż istnieją jeszcze na świecie ludzie, mogący zadawać tak naiwne pytania.

Wtedy zaproponowałem im, aby chociaż teraz poszli na ogródek i pobawili się trochę w piasku.

— Mój drogi ojcze — rzekł smutnie Alek — wydaje mi się, że są w życiu ważniejsze sprawy niż bawienie się w piasku. Czy ojcze wie, (jeżeli już przy tym temacie jesteśmy), że piaski Sahary będą wkrótce osuszone dzięki zastosowaniu specjalnego systemu kanalizacyjnego?

Przyznałem lojalnie, że dotychczas nic mi o tym nie było wiadomym. Mimo wszystko usiłowałem w dalszym ciągu namówić chłopców do pójścia do ogródka, gdzie zawsze urządzali sobie „podchody” Indian.

— Nie, ojcze! — odrzekli razem. — Pamięć wielkich cierpień tego wielkiego narodu, ufarzmiętego nowoczesną cywilizacją, nie pozwala nam na bezmyślną zabawę, w której lubuje się jeszcze tak wielka liczba dzieci i młodzieży.

— Więc może zagrać w „ciuciubabkę”? — zaryzykowałem, zbity z tropu.

— Jak można malpować niektórych anglosaskich dyplomatów, ojcze? Tę zabawę pozostawmy ludziom, którzy się w niej dobrze czują. Ale a propos. Co ojcze sądzi o upadku gabinetu André Marie we Francji?

— Hm, uważam...

— Głowie daję, że kryją się w tym jakieś nieczne machinacje zbankrutowanych doktrynerów politycznych. Jedno jest pewne: rząd Marie był rzędem marie-onetkowym. Prawda ojcze?

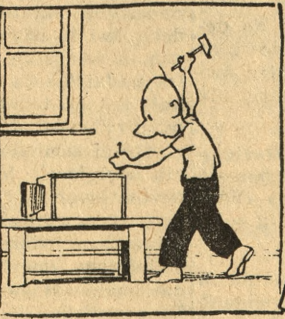
Pantaleonowi — niech nikt nie odmówi



Śliwka apel czyta w mieście, Zebry władzom pomóc w kwiecie.



Więc też myśli sobie w domu: — Jakby tutaj w zbiórce pomóc?



Ale wnet poradził sobie: — Już wiem — mówi — puszkę zrobić!



Dziś do datków wszystkich skłania Dla Warszawy i Poznania.

Z teki karykaturzysty



Franciszek Woźniak, prezes Związku Zrzeszeń Kupieckich w Poznaniu

bawki: klocki, niedźwiadka, ołowiane żołnierzyki...

— Nie mamy nic przeciwko temu. Może się ojcze nimi bawić, byle ostrożnie, bo szkoda popsuć.

— I nie kupię wam obiecanej już dawno hulajnogi!

Zdaje się, że trafilem wreszcie na właściwą nutę, bo skoro tylko wypowiedziałem te straszne słowa, chłopcy zalewają się łzami, padli przede mną na kolana błagając, abym cofnął swoją groźbę. Przysześli, że zgodzą się na wszystko, byle bym tylko kupił im hulajnogi.

— A na co wam ona potrzebna? — spytałem podejrzliwie.

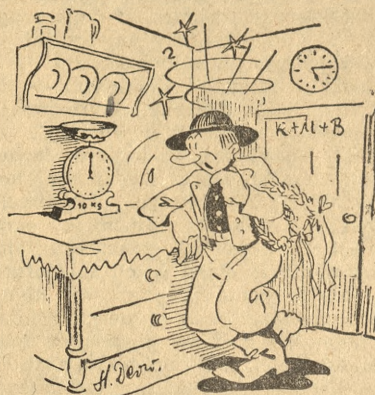
Edzio, dumnie wydymając pierś, oświadczył:

— No bo chcemy pojechać...

— Do Wrocławia — dodał Alek — na Wystawę Ziemi Odzyskanych...

MIK

Powrót z „dozynek”



— Cooo? Dopiero dwunasta? ... To ja za wcześnie wróciłem!



— Czy ty przypuszczasz, mamro, że on mi się dzisiaj narzuci oświadczyć? —
— Na pewno, że w taki sposób, jakby już należał do rodziny.



— Dlaczego pan wyrzuca te duże ryby z powrotem do wody, a zatrzymuje małe? —
— A, bo nie mam takiej dużej patelni w domu!!!

Fraszki

O pewnej pani

Była zapalna taka, Ze płonęła na widok strażaka.

Na literata

Więc dobrze! W poezji, chcesz palmę pierwszeństwa;

Przyznam ci ją szczerobliwie, Lecz tym co czytają, daj palmę męczeństwa,

A będzie sprawiedliwie

Nagrobki

Tu leżą kości Pierwszej jakości.

Umarł gdy zaszła potrzeba Udan się do nieba.

Tu spoczywa w grobie — ona. On — z tęsknoty dopiero kona.

ZBIEGNIEM MUSIAŁ